

BIESZCZADZKIE WSPOMNIENIA

Internet potęgą jest i basta !!! Długo decydowaliśmy się czy w ogóle jechać gdzieś na urlop a jak już jechać to gdzie ? W końcu zadecydował sentyment do wydarzenia, które nie miało miejsca, bo gdy przed laty dokonaliśmy już wpłaty, by pojechać do Lwowa, to akurat upadło Biuro Podróży Gromada. Tak więc kierunek Lwów, okazał się jedynym słusznym a ponieważ przy okazji tak się składało, że do tej pory nie dotarliśmy w Bieszczady, więc pewna koncepcja dość szybko zaczęła się krystalizować. Tyle tylko, że „uni nie są w Unii” i problem paszportów mógł skutecznie storpedować nasze plany wakacyjne. Na szczęście moja wiara w cuda czasem daje pozytywne rezultaty. Tak też było w tym przypadku, gdy we wtorek, czyli na dwa dni przed wyjazdem odbieraliśmy swoje nowiutkie biometryczne paszporty kosztujące po 160 zł ze zdjęciem za sztukę. Pozostało mi tylko obłaskawienie telefonicznej nawigacji i w drogę. Ale przed tym zasiadłem przed komputerem i na zupełnego wariata zarezerwowałem nocleg z wyżywieniem w Magicznym Zakątku oraz trzy jednodniowe wycieczki z biurem Bieszczader. Nie mogłem wiedzieć wówczas i trudno mi uwierzyć nawet teraz, jak celne były to strzały. Ale wszystko po kolei

Dzień I – czwartek 30 lipca 2015

Wyjechaliśmy po śniadaniu w czwartkowy poranek 30 lipca. Pojechaliśmy trasą wiodącą przez Strzelce Opolskie, w których skorzystaliśmy z tego, że kraj w ruinie wielkiej leży, więc zupełnie nieistniejącą autostradą teleportowaliśmy się wraz z samochodem, do samego Rzeszowa. O zdzierstwie na odcinku Katowice – Kraków wspominać nie będę, bo na dworze gdy piszę te słowa panuje zbyt duży upał, aby dodatkowo podnosić sobie ciśnienie. Pozostała jazda po doskonałej drodze kosztowała nas całe 3,70 plus paliwo i o tym będę chciał pamiętać, jeżeli już warto o czymkolwiek ze spraw transportowych pamiętać. Po drodze przystanek na bardzo dobrą kawę i telefon do naszych gospodarzy, że właśnie rozpoczęliśmy podróż w ich stronę. Od razu zaskoczyły mnie pytania o spodziewaną godzinę dotarcia na miejsce i prośba abyśmy broń Boże się nie spieszyli, bo i tak o której byśmy nie dotarli na miejsce, czekają na nas z gorącym obiadem. Taka perspektywa spowodowała, że nie szukaliśmy już niczego gastronomicznego po trasie i po siedmiu godzinach, pokonując 645 km dotarliśmy szczęśliwie do miejscowości Chmiel. Przyjęcie na miejscu przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Nie żeby od razu czerwone dywany i orkiestra, ale serdeczność i otwartością każącą przypuszczać, że może pomyłono nam z kimś innym, kimś z bliskiej rodziny gospodarzy, ale nie chcieliśmy nikogo wyprowadzać z błędu, że my to my i że my tu pierwszy raz i na dodatek prawie przeze przypadek. Wkrótce się okazało, że w błędzie to byliśmy my a tutaj tak traktuje się wszystkich gości, co jednak nie zmieniło naszego odczucia, że jesteśmy tu kimś szczególnym. Pani Irenka natychmiast ugościła nas wskazując pokój i zapraszając na obiad, który teraz właśnie był dla nas przygotowywany. Smaku tego boczku pływającego w sosie grochowym, nazwanym dla niepoznaki grochówką, nie zapomnę jeszcze długo. Przy czym ta właśnie pamięć gastronomiczna z każdym dniem zyskiwała nowe pozycje i dziś jeszcze wywołuje nostalgię i tęsknotę za kuchnią pani Irenki. Po obiedzie natychmiast mamy wskazanie co możemy jeszcze do wieczora zobaczyć. Za radą Gospodyni schodzimy więc na ich kawałek działki umieszczonej nad samym Sanem, gdzie króluje ława góralska huśtająca się leniwie nad samym brzegiem kamiennego koryta Sanu. Woda w rzece jest zaskakująco ciepła i spokojna. Brak oczywiście jakiegoś wygodnego piaszczystego dna, ale owa kamienistość dodaje uroku całej tej

okoliczności. Aby wypełnić komplet wskazań oraz spalić nieco pochłoniętych z wielkim apetytem kalorii, ruszamy pod górkę, aby dotrzeć do połowej obórki położonej na szczycie wzniesienia, pośrodku takiego małego czterdziestohektarowego gospodarstwa. Po drodze mijamy ogród pełen kwiecica przeróżnego nad którym unosi się niepokojących zapach lilii oraz coś co niby nazwać można miejscem na grilla. Niby tak, tyle tylko że łącznie z kominkami, ławami i stołami zajmuje ono powierzchnię równą niejednej sporych rozmiarów restauracji. Ale to taki drobiazg. Za chwilę czeka nas widowiskowy wschód Księżycy, który demonstruję pełnie swego blasku. A wokół słychać... no właśnie, co słychać ?, Nic nie słychać ! jest cicho, pięknie i spokojnie. Pora więc sprawdzić warunki bytowe. Zaczyna się słodko, od „kawałka” ciasta. Tak na wszelki wypadek fotografuję owe ciasteczko, jako przymiar wykorzystując kluczyk samochodowy z breloczkiem. Od kiedy to pół kilo przesmacznego wypieku nazywa się ciasteczkiem ? ale to już tylko szczegół. Tymczasem na ławie w naszym pokoju wykończonym jak cała część hotelowa w stylu zakopiańskim na cześć Gospodarza pochodzącego z Podhala, łąduje sterta śnieżnie białych ręczników frotte różnych rozmiarów i w ilościach, które wykorzystując je rozrzutnie nie skalaliśmy nawet w połowie. Leży to wszystko na kocach, których grubość przekracza rozmiary niejednej kołdry. Pościel w łózkach świeżuteńka i mamy nieodparte wrażenie, że używana jest po raz pierwszy lub co najwyżej drugi. W łazience groźne napisy o konieczności utrzymania higieny i zdrowego rozsądku, ale wszystko funkcjonuje bezbłędnie i choć pokój ten mamy mieć tylko na dwie noce, to jednak zapewniamy p. Irenkę, że jego ponoć mniejszy standard, odpowiada nam wyśmienicie i nie chcemy do samego końca opuścić tego pomieszczenia. Jest chwila na spokojną rozmowę z p. Irenką. Ona wyczuła w tonie mojego głosu przy pierwszym kontakcie telefonicznym, że bardzo nam zależy na możliwości zamieszkania w Magicznym Zakątku, ja zaś byłem pod wrażeniem komunikatu, że w obiekcie obowiązuje nakaz noszenia miękkiego obuwia, bo staramy się wszyscy utrzymać w nim idealny porządek. I tak było w istocie, pomimo że obłożenie pokoi było pełne to śmiało gościły w nim całe rodziny z dziećmi i to nawet takimi miesięcznymi.

No masz !!! Znalazłem mankament !!! – prosiła mnie o to sama Pani Irenka. Otóż owym mankamentem jest brak w pokojach telewizorów ☺)))) Dzięki temu zasypiamy spokojnie pod rozgwieżdżonym niebem Bieszczad, które przyjdzie nam trochę poznać w ciągu najbliższych dni. Ale z tego co widziałem na ścianie budynku istnieją już przymiarki do uruchomienia sieci telewizji satelitarnej, a może to tylko moja nadinterpretacja.

Dzień II - piątek 31 lipca 2015

Zaczynamy śniadankiem !!! Taaaa, tyle tylko że dla różnych okoliczności, różne jest znaczenie tego hasła. W naszym przypadku trafiamy do świetnie wyposażonej kuchni pośrodku której króluje bufet a na nim obfite dary natury konsumpcyjnej. Nie pociągają mnie akurat wszelkie odmiany menu mięsnego, choć ich liczba i różnorodność budzą szacunek, ale przede mną jest całe mnóstwo serów od oscypków, poprzez solan, bundz do bryndzy. Łapiemy od razu kontakt z krzątającą się panią Irenką i od tej chwili mogę do woli kosztować rozmaitych piątek zwanych również dupkami. Dla mnie wyżer niesamowity. Nagle odkrywam wśród galerii barwnych słoiczków z różnymi przetworami domowymi, okazałych rozmiarów słoik z marynowanymi rydzami. Owe rydze przyrządzone w zalewie słodko kwaśnej, będą mi towarzyszyć już każdego dnia a zapas który zakupiłem i którym zostałem dodatkowo obficie obdarowany, wystarczy przy dobrej gospodarce, jeszcze na bardzo długo. Jemy i pijemy do syta co tylko dusza zapagnie

zagadywani na co jeszcze byśmy ewentualnie mieli ochotę. Ale najlepsze przed nami. Otóż p. Irenka wiedząc o naszych planach wyprawowych na dzień dzisiejszy wręcz wymusza na nas przygotowanie okazałej porcji kanapek na drogę. Wskazuje szufladę z torebkami i foliami i jedyne pytanie – czy aby czegoś nie dokroić, bo może mamy ochotę na coś innego aniżeli jest w tej nad wyraz bogatej ofercie. Okazuje się, że nawet wczorajsze ciasto (pyszne !!!) jest jeszcze w ofercie i byłoby obrazą, gdybyśmy nie skorzystali z zaproszenia do jego skosztowania. Od czasów mojej służby wojskowej nigdy nie wyglądałem na szczupłego, ale zdałem sobie sprawę, że dłuższe pozostanie pod żywieniową jurysdykcją pani Irenki mogłoby się zakończyć koniecznością zmiany garderoby o przeróbkach ościeżnic nie wspomniawszy. Wychodzimy jednak z jadalni głodni, tyle tylko że głodni wrażeń. A tych nie zabraknie nam przez cały pobyt w tym zakątku. Przerwę tutaj mój watek kronikarski aby podzielić się pewną refleksją. Otóż od dziecka wiedziałem o istnieniu Bieszczad. Słuchałem słów piosenki Wojtka Młynarskiego – Po prostu wyjedź w Bieszczady, pluń na bajki, pluń na ballady, tylko męska literatura. Później były „Łuny w Bieszczadach” Burcharda i oczywiście „Wilcze echa”. Współcześnie Bieszczady kojarzyły mi się ze Starym Dobrym Małżeństwem, które uczyło że bieszczadzkie anioły są zielone, zielone mają pojęcie i nawet kielonek mają zielony. Ale wszystko to trąciło mi mniej lub bardziej pewną egzaltacją, modą na oryginalność, jednym słowem czymś wydumany i sztuczny. Jakiż głupi byłem w takich domysłach. Trzeba tu było przyjechać już dawniej, pochodzić po tych górach, wsłuchać się w tę ciszę i rozmawiać z ludźmi którzy tu żyją. I nie chodzi mi o całą sektę określaną jako bieszczadzkie zakapiory. Oni tu egzystują, wyglądają jak wyglądają ale jakoś tak się złożyło, że nasze ścieżki się jeszcze nie spotkały, może w przyszłym roku. Dziś wysłuchałem dwóch definicji zakapiora bieszczadzkiego. Według pierwszej jest to mężczyzna w sile wieku, który poczuł nagle egzystencjonalny imperatyw radykalnego przewartościowania swoich kryteriów etycznych i moralnych. Druga z definicji głosi, że jest to facet który poczuł obrzydzenie i nie bierze do ręki ani roboty ani mydła. Wybór słuszności tych definicji należy do czytelnika. Ale dla nas spotkania z ludźmi nie noszącymi dużych kapeluszy, bród i noża za pasem, pozostawiły niesamowity ładunek emocjonalny. Tyle życzliwości, spokoju i dobroci nie spotyka się na co dzień w innych rejonach. A może tylko nam się tak przydarzyło, w każdym razie Ci ludzie i te góry tak jakoś dziwnie pasują do siebie tworząc obraz doznań tak dobrych, że chyba będę musiał tłumaczyć się z nadmiernej egzaltacji. Ale co mi tam. My i tak wrócimy za rok w Bieszczady, bo było nam tam dobrze i spokojnie. I nie zmienią tego żadne opinie ludzi, którzy nie byli w Bieszczadach poniżej linii wyznaczonej przez Solinę i Polańczyk.

Wracam do kroniki – Nasza droga wiodła do Majdanu k. Cisnej, głównej stacji Bieszczadzkiej Kolejki Wąskotorowej. Przejeżdżając przez Cisną odruchowo rozglądałem się za choćby paroma kroplami deszczu. Niestety, było chłodno ale sucho. O samej Cisnej dowiemy się później, że jest to miejscowość znana z tego, że jest znana. Ale do niej wrócimy po przejażdżce kolejką. Docieramy na teren dworca. Od razu miłe odczucia. Parking to opłata zaledwie 2 zł od osoby i pełna obsługa w zakresie bezpiecznego zaparkowania. Na terenie dworca bardzo schludna toaleta co w warunkach górskich jest wybitną atrakcją. Stoją już oba składy pociągów, jeden mający pojechać do stacji Przysłop i drugi do Balnic. Z internetowego rozkładu wiem, że można to połączyć w ten sposób, że najpierw pojechać do Przysłupa a następnie wrócić na Majdan i wykonać kolejną pętlę do Balnic. Dumnie więc zajmujemy miejsce w składzie jadącym w prawo, czyli do stacji Przysłop, robimy sobie wzajemnie niezłą sesję zdjęciową, gdy nagle rozlega się komunikat

wypowiadany naprawdę słodkim głosem żeńskim, że tak oto zabrakło właśnie biletów na kursy do Przysłupa i Balnic, ale organizowany jest dodatkowy wyjazd do Balnic. Śmiejąc się sami z siebie wysiadamy z dumnie zajętych miejsc i pokornie idziemy stać do wijącej się niczym wąż eskulapa (tutejsza ciekawostka przyrodnicza) kolejki do kasy. Stojąc karnie w naprawdę okazałych rozmiarów kolejce drżę za każdym razem gdy włącza się megafon, wszak choć widzę już okienko kasowe, do którego dzieli mnie mniej niż dwadzieścia osób, to w każdej chwili mogę usłyszeć, że i na ten dodatkowy kurs jest już zdecydowanie za późno. Ale szczęście nam sprzyja!!! Udaje się nam i może jeszcze dziesięciorgu innych szczęśliwców zakupić niedrogie bilety na tę prawie dwugodzinną (z postojem) wyprawę. Wiezie nas lokomotywka spalinowa wykonana w roku 1980 w Bukareszcie! Taka ciekawostka. Oczywiście większą atrakcją jest lokomotywka węglowa, ale ta wykonuje jeden kurs dziennie i bilety na nią wykupywane się chyba jako pierwsze. Ale nic nie szkodzi, bo doznania z przejażdżki którą odbędziemy są naprawdę bardzo fajne. Ławeczki zamontowane tak aby przed Tobą przesuwiał się dostojnie zielony krajobraz bieszczadzki, są prawie nieużywane bo wszyscy stoją wpatrując się w cuda przyrody prezentujące się przed naszymi oczami. Aparaty fotograficzne pracują na pełnych obrotach, przyspieszając szczególnie na zakrętach gdy widać oba krańce składu pociągu. Po prawie godzinie docieramy do naszej stacji docelowej. Tutaj odbywa się techniczny zabieg przestawienia lokomotywki na drugi kraniec pociągu, natomiast na wszystkich pasażerów czekają przedsiębiorczy tubylcy, którzy rozłożyli swoje kramy ze znakomitym jedzeniem i piciem. Na pewno bym skorzystał z tej oferty, gdyby nie to, że my jesteśmy z Magicznego Zakątka i nie ma mowy abym poza kubeczkim kawy skusił się na cokolwiek innego. Ale inicjatywa i jakość oferty, naprawdę bardzo fajne. Wracamy w kierunku na Majdan i trzeba nawet założyć kurtki bo robi się chłodno, co z perspektywy dzisiejszego skwaru wydaje się być stanem wyższej błogości. W obojgu nas budzi się jednak przekonanie, że doskonale stało się, że odbyliśmy jedną tylko podróż, bo teraz mamy więcej czasu na spokojne zwiedzenie innych atrakcji. Zaczynamy oczywiście od całego muzeum kolejnictwa wąskotorowego z pietyzmem gromadzonym tutaj przez grupę zapaleńców. Jest nawet mapka Polski z zaznaczonymi liniami kolejek wąskotorowych, na której dostrzegamy znajomy Zbiersk.

I tu znowu dygresja nieco łamiąca chronologię wydarzeń. Otóż w miejscach w których bywaliśmy w trakcie naszej wyprawy bieszczadzkiej, odkrywamy owe tory kolejki wąskotorowej służącej onegdaj do transportu drewna, w bardzo wielu miejscach. Obecnie są one szczelnie zamaskowane bujnymi trawami i innymi porostami, ale są na pewno. Dlaczego nikt z władz nie jest zainteresowany strukturalnym wykorzystaniem tego skarbu do współczesnych potrzeb wizerunkowych, pozostaje dla mnie niezgłębiona tajemnicą. Póki co cieszę się tylko z jednego a mianowicie z tego, że na tym terenie nikt z władz nie wydał jeszcze pozwoleń na działalność punktów skupu złomu !!! Mówię poważnie !!! W każdej chwili grozi, że uruchomienia na tym terenie takiej właśnie aktywności „gospodarczej” byłoby równoznaczne z wyrokiem śmierci na kilometrów torowisk, dużej ilości krzyży przydrożnych i co gorsza lin stanowiących zabezpieczenie szczególnie niebezpiecznych zakrętów. To nic że przy okazji wyzbierane byłyby puszkami po piwach na widok których ciśnie się na usta cytaty z „Seksmisji” „O ! nasi tu byli” A tak dygresją do dygresji. W bardzo wielu miejscach na drogach bieszczadzkich spotkać można ostrzeżenie „droga kręta” Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby tylko nie to, że do takich znaków dojeżdża się pokonując dziesiątki wcześniejszych zakrętów. Dla mnie treść tego znaku winna brzmieć „droga jeszcze bardziej kręta” Ale te solidne stalowe liny chroniące pobocza, są jak najbardziej

uzasadnione bo widok zza okna samochodu jest i piękny i groźny. Znając jednak inwencję rodzimych złomiarzy, po ich pojawieniu się na tym terenie, liny te mogłyby zacząć bardzo szybko znikać a wraz z nimi wielu podróżujących bieszczadzskimi drogami.

Koniec dygresji – wracamy do piątku 31 sierpnia a my staramy się o deszcz, deszcz w Cisnej. Zatrzymujemy się obok kultowego miejsca jakim jest Siekierzada. Galeria obrazów, fotografii, miejsce tchnące nie tyle swoją częścią gastronomiczną wszak jest to podobno przede wszystkim bar, ale tutaj jesteś bardziej w przybytku kultury aniżeli czegokolwiek innego. Fronton w malwy i maki malowany, niesamowite portrety z których patrzą na Ciebie całe zastępy bieszczadzkich zakapiorów i ich kapliczka pamięci z Frasobliwym na kratą z podkowy, to wszystko robi niesamowite wrażenie. Plac otoczony jest sklepikami z wyrobami rękodzielniczymi. My dokonujemy zakupu w jednym z nich i tak jakby od niechcenia zostajemy obdarowani przepiękną opowieścią o genezie nazwy Bieszczad. Otóż w myśl tej legendy było to miejsce w którym walkę stoczyły siły dobra Biesy wspomagane przez Anioły z siłami zła czyli Czadami. Fajnie, że komuś chce się snuć takie dobre opowieści, bo wersja historyczna wywodząca nazwę od miejsca gdzie mogli się osiedlać ludzie wątpliwej proveniencji i być tutaj bezkarnymi pomimo popełnienia przestępstw na obszarze bardziej cywilizowanym. Ale cóż począć, wszak Australia miała podobną genezę powstania ☺

A miało być bez dygresji – wracamy więc na szlak i żwawym krokiem udajemy się do pracowni ikon pani Jadwigi Denisiuk. Z jej dziełami spotkaliśmy się już przed laty i zrobiły one na nas naprawdę duże wrażenie. Docieramy więc do źródła, chodzimy po otwartej części wystawowej domu, podziwiamy wiszące na ścianach ikony a po chwili odwiedza nas gospodarz obiektu a prywatnie mąż pani Jadwigi. Dowiadujemy się o ceny prac, uświadamiając sobie słuszność od dawna głoszonej tezy, że nie ma świece rzeczy ładnych i tanich, są albo takie albo takie. Ze smutkiem konstatujemy, że pani Jadwiga z racji wieku i wielkiej eksploatacji wzroku, widzi już coraz słabiej, stąd wiele prac sygnuje jedynie swoim nazwiskiem, które w świecie ikon ma ugruntowanie wysoką pozycję. Tyle tylko, że niektóre z owych prac poszły w stronę kiczu turystycznego, ale to już materiał na zupełnie inną bajkę.

My korzystając z bardzo sugestywnych objaśnień staramy się z sukcesem dotrzeć do baczki prowadzonej przez męża naszej nieocenionej pani Irenki, Andrzeja, lub jak kto woli Jędrusia. W baczce na stałe pracuje córka Gospodarzy, która skrzętnie przyjmuje nasze zamówienie, bo wiemy już po porannych zachwytach kuchennych, że aby móc wyjechać stąd z zapasem serów owczych, należy wcześniej złożyć na nie zamówienia, jako że o co jak o co, ale o zbyt na te frykasy, nikt nie musi się martwić. Państwo Murzańscy mieli tu kiedyś 2,5 tysięczne stado owiec, przy których hodowli zatrudniali dziesięciu juhasów. Ale obecnie gdy siły trzeba mierzyć na zamiary, stado to ulega stopniowemu zmniejszeniu, choć z tego co wiem, w Magicznym Zakątku autentycznie własnych wyrobów spożywczych nie zabraknie nigdy.

Wracając mamy jeszcze chwilę czasu aby zatrzymać się już w samym Chmielu w dwóch ważnych turystycznie punktach. Pierwszym są kaskady chmielowskie. Szerokie koryto Sanu na odcinku około trzystu metrów poprzecinane jest tutaj poprzecznymi progami skalnymi. Widok z urwiska górującego nad tym tworem natury, jest imponujący i zapewne zmienny wraz ze stanem wody w Sanie, której za naszej tam bytności było bardzo mało. Drugim punktem obowiązkowym w Chmielu jest cerkiewka, przerobiona współcześnie na kościół filialny parafii rzymsko-katolickiej. Te drewniane cerkiewki odwiedzać będziemy systematycznie przez cały czas naszego pobytu w

Bieszczadach. Stanowią one o wielkim uroku tych okolic, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że budowle te przechodziły bardzo burzliwe dzieje. Te z cerkiewek, które zachowały się do współczesności, swoje wyratowanie z różnego rodzaju pożóg zawdzięczają spełnianiu często funkcji użytkowych, typu np. magazyny dla siana. Większość tych obiektów pierwotnie zbudowana i używana była jako cerkwie obrządku greko-katolickiego. Wbrew powszechnemu przekonaniu, nie było tutaj dużego odsetka prawosławia. Ciekawostka, kupiona od p. Mateusza – hostia w obrządku grekokatolickim ma kształt kwadratowy, stąd tak tabernakulum jak i monstrancje dostosowane były do tego kształtu. O panu Mateuszu opowiem później, bo postać to na tyle barwna, że nie sposób jej zmieścić teraz, gdy drugi dzień zbliża się już ku zachodowi. My wracamy do domu i mimo całodziennej bieganiny, proszę mi wierzyć, nie odczuwamy zbyt głodu, ale tylko do czasu gdy na stole ląduje waza z zupą grzybową zrobioną na bazie borowików i maślaków. Gdy p. Irenka podając drugie danie usiłuje zabrać pozornie zbędną wazę do kuchni, reaguje bardzo impulsywnie bo smak tej zupy to czysta poezja. Ale my szybko uciekamy w objęcia Morfeusza, bo jutro trzeba wcześniej wstać aby zdążyć na 7.05 do Ustrzyk Dolnych skąd odjedziemy na wycieczkę do Lwowa. Jeszcze tylko kilka zdjęć wspaniałego księżycy i nunu

Dzień III – sobota 1 sierpnia 2015

Aby zdążyć na godzinę 7.00 do oddalonych o 40 kilometrów Ustrzyk Dolnych musimy wstać odpowiednio wcześniej, aby nie narażać się na stres, tym bardziej, że droga obfituje w malownicze acz czasochłonne serpentyny. Nie muszę wyjaśniać, że uprzedzona o naszym wczesnym wyjeździe p. Irenka mimo wszystko wstała i dopilnowała abyśmy odpowiednio zaprowiantowani wyruszyli w naszą podróż. Dla obojgu nas wyprawa do Lwowa była czymś absolutnie kluczowym i najważniejszym w trakcie naszej wyprawy bieszczadzkiej. O wcześniejszych marzeniach Danusi wspomniałem już na wstępie. Ja miałem w tym wszystkim jeszcze swój synowski bardzo sentymentalny cel. Otóż moja Mama uczyła mnie jako małego jeszcze chłopca, czyli na pewno przed pół wiekiem, piosenki o Jurku Biczanie. Po latach piosenki tej nauczyła również moją córkę. Teraz już wiem, że pisownia jego nazwiska winna brzmieć Bitschan, ale to zawdzięczam odnalezieniu dzięki Danusi, Jego tablicy pamiątkowej w panteonie bohaterów, poległych 21 listopada 1918. Miał wówczas 14 lat. Zgodnie z treścią piosenki w tym samym dniu ginie na innej barykadzie w obronie polskiego Lwowa również jego matka. Piosenkę nauczoną przez Mamę pamiętam po dziś dzień i nie było dla mnie ważniejszej sprawy aniżeli dotrzeć w to miejsce i zanucić kilka taktów tej melodii. Dla mojej Mamy, dla mego dzieciństwa, dla Jurka Bitschana. Udało mi się to, ale jakieś szczególnej satysfakcji z tego powodu nie czuję. Tak bardzo chciałbym śpiewać dla mojej Mamy...

Wycieczek jeżdżących nieomal codziennie do Lwowa jest dość sporo i wybór ewentualnych ofert jest stosunkowo szeroki choć bliźniaczo do siebie podobny. Mnie udało się prawem Kaduka, wynaleźć Biuro Podróży Bieszczader, dzięki czemu jesteśmy oboje z Danusią niesamowicie zadowoleni z tego co udało nam się przeżyć na wyprawach organizowanych przez to właśnie biuro. Pierwsza sprawa godna odnotowania, to pełen profesjonalizm w podejściu do swoich klientów. Żadnych przedpłat, ale gdy już zgłosiłeś się do jakiej wyprawy, dzień wcześniej otrzymujesz telefon przypominający o najważniejszych aspektach technicznych wyjazdu a w ślad za nim na twoim telefonie pojawia się sms potwierdzający godzinę i miejsce wyjazdu oraz podający numer telefonu do opiekuna-pilota wycieczki. Kolejna rzecz ważna, jeżeli zdecydowałeś się na

którąkolwiek z wycieczek, to wszystko to co przeczytałeś w jej programie jest realizowanie i to bez gwiazdek odsyłających do zapisków maczkowatą czcionką. Ale prawdziwą przewagą konkurencyjną, której znaczenia doświadczyłem w Bieszczaderze, są zatrudnieni w nim przewodnicy. Uczestniczyłem w wielu różnych wycieczkach i wiem doskonale kiedy ktoś odważa pańszczyznę a kiedy żyje w pasji tego co robi. Wycieczkę do Lwowa prowadził Grzegorz i choć wszyscy w miarę słusznie zachwycali się przewodniczką lwowską, czyli panią Terenią, to w mojej pamięci i wyobraźni bardziej pozostały informacje przekazywane przez Grzegorza. Przewodnik wcale nie musi zasypać Cię mnóstwem informacji, kto w którym roku, według czyjego projektu i zatwierdzenia. Te wszystkie informacje uciekają z głowy szybciej aniżeli do niej trafiają. Ale gdy powiesz ciekawostkowo o najgłębszym polskim odwiercie wykonanym w tych okolicach na głębokość 7,5 kilometra, to to trafia do pamięci i wyobraźni. Gdy dowiesz się o udziale wojsk słowackich w manewrze pozwalającym zdobyć błyskawicznie hitlerowcom linię bunkrów sowiecki na prawym brzegu Sanu w Przemyślu, to też jesteś bogatszy o kolejne doświadczenie. O zamku w Krasiczynie nie wspomniawszy. Dlatego wiem jedno, w przyszłym roku jedziemy z Bieszczaderem na szwejkowską wyprawę do Przemyśla i zobaczy się na co jeszcze nas skuszą.

Ale my jedziemy do Lwowa, po drodze widząc anteny telewizyjne w kształcie krzyża św. Andrzeja, domy bez okien, bo ich wstawienie byłoby równoznaczne z koniecznością zapłacenia sowicie srogiego podatku. Podobna sytuacja dotyczy rozległych połaci nieużytków, których uprawa nie jest możliwa ze względu na koszty dzierżawy. Przypomina mi to sytuację konania z pragnienia obok studni oligoceńskiej wody, do której nie możemy włączyć pompy, z powodu braku funduszy. Tych absurdów przyjdzie mi dostrzegać jeszcze wiele, ale postaram się ograniczać z wypowiedaniem zbyt jednoznacznych opinii na ich temat, bo równie dobrze ktoś patrzący z boku na niektóre sytuacje w mojej Ojczyźnie też może często stukać się w czoło. Z daleka majaczy na horyzoncie Gródek, miejsce zgonu Władysława Jagiełły, co do którego ogólnej długości życia historycy toczą po dziś dzień zawzięte spory. Po wroście wibracji podwozia łatwo się domyślić, że jesteśmy już w królewskim mieście Lwowie. Za chwilę do naszego autokaru wkracza p. Terenia i mając do wypowiedzenia 87 stron przewodnika turystycznego, czyni to z prędkością ckm-u i z podziwu godną pamięcią do szczegółów. Zaczynamy zwiedzanie z autokaru od imponującego dworca a później ... już niewiele pamiętam. Co krok docierają do mnie strzępy informacji że w domu pod numerem 3 urodził się Zbigniew Herbert, a pod piątym lub siódmym mieszkał Wojciech Kilar, Gdzieś tam jest Stanisław Janicki, Kazimierz Górski. O ten kościół, to polonia za czasów komuny walczyła z władzą sowiecką a tutaj zmarł Michał Korybut Wiśniowiecki. Jeszcze opowiadanie o Ignacym Łukasiewiczu i jego wspólniku Janie Zehu i dotarcie pod cmentarz Łyczakowski. I tu zaczęło się wszystkie zło, które powoduje jeden wniosek. Nigdy więcej z wycieczką do Lwowa !!! Już tłumaczę o co chodzi. Otóż w chwili zatrzymania oblegają nas rzesze żebrzących Polaków. Biednie ubranych starszych ludzi mówiących piękną polszczyzną, bez żadnego „ta joj” zaciągania. Nikt nie przygotował nas na takie dictum. Trzeba było wcześniej zaopatrzyć się w kilka zbędnych dziesięciozłotówek i może wówczas czułbym się lepiej. Dlaczego dziesięć złotych, ano dlatego, że monety polskie wymieniane są w kursie 1:1 natomiast banknoty według kursu bankowego czyli 1:6 – kolejna ukraińska konsekwencja myślowa. Czy jednak mając te cztery czy pięć dziesięciozłotówek w kieszeni na rozdanie, naprawdę czułbym się dobrze ? Wątpię. Otóż jedna z teorii, która wydaje się brzmieć prawdopodobnie, mówi o mechanizmie analogicznym do rumuńskich dzieci na naszych ulicach. Dlatego jedynym rozwiązaniem, według

mnie, byłoby wprowadzenie dla naszych żyjących tu rodaków Karty Polaka, która zapewniałaby jakikolwiek socjał w kraju ogarniętym wojną. Nie mówmy o dostawach broni na Ukrainę, bo to tylko dolewanie oliwy do ognia, mówmy o konkretnej pomocy dla naszych rodaków. Tych ludzi na dzień dzisiejszy naprawdę nie ma już zbyt dużo a wydatek miesięczny choćby w granicach 200,- na osobę co daje całe 1200 hrywien, chyba nie rozłożyłby na łopatki naszego budżetu. Mam wymienić idiotyczne pozycje wydatkowe w naszym rodzimym budżecie ? A widok tych nieszczęśników jest porażający i wiercie mi, że nikt nigdy nie chciałby dobrowolnie go oglądać. To wstyd dla Polski, wstyd dziejący się tu i teraz. Za dziesięć lat pozostaną już tylko dobre chęci, podczas gdy pomoc trzeba natychmiast i to nie dziesięciozłotówkami z kieszeni zdeorientowanego turysty.

Wchodzimy na Łyczaków – wrażenie naprawdę wielkie. Groby Grottgera i cała historia jego Zofii, Bełzy, Zapolskiej, Konopnickiej. Jakie to życie przewrotne w jednym roku byliśmy w miejscu urodzenia Marii Konopnickiej, mieszkamy w mieście w którym żyła i tworzyła a teraz dotarliśmy do miejsca w którym spoczęła na wieki. Ale dla mnie ważna jest tylko kwatery Orląt Lwowskich. Docieramy tam i jest to zupełnie inny świat. Oaza polskości na ocenie zacierającym polskość w każdej możliwej formie. Ale tutaj jesteśmy w Polsce. Kolejne polskie babcie dbające o czystość cmentarza, ale te nie wyciągają rak po jałmużnę, choć widać po nich, że lekko to raczej nie mają. Karta Polaka i to jak najszybciej. Całość kwater wysypana jest kamieniami po których odruchowo chce się cicho chodzić, tak aby nie zbudzić dzieci na wieki tutaj pochowanych. Mijam miejsce w którym dokonano ekshumacji do grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Nasza przewodniczka też zna piosenkę o Jurku Bitschanie i kieruje nas w stronę tablic zasłużonych. Wśród nich jest też inny trzynastoletni kawaler orderu *Virtuti Militari*, które w tym czasie nadawane były tylko za męstwo. W kaplicy znajdującej się na szczycie miejscowy kustosz zapoznaje co pół godziny kolejną grupę turystów z Polski z historią tego miejsca. Ja niestety wynajduję kolejny przykry dla mnie aspekt bytności w tym miejscu. Otóż w bezpośrednim sąsiedztwie naszych Orląt chowani są chłopcy polegli w teraźniejszej wojnie rozgrywającej się jakieś siedemset kilometrów na zachód. Znowu ktoś coś chce sobie załatwić, mając patriotycznymi hasłami rzesze dzieciaków którzy mogliby jeszcze śmiać się, kochać, chodzić do kina czy jeździć na motorze. Ale oni zlegli tutaj, nieopodal polskich dzieci. Po co ? w jakim celu ? Czyż trzeba astronomów aby widzieć, jak małą kruszynką we wszechświecie jest nasza planeta będąca ojczyzną wszystkich ludzi ? Tak się to wszystko dziwnie pokoiło z 71 rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego, do którego stosunek emocjonalny też ulega we mnie pewnemu przewartościowaniu, gdy uświadamiam sobie, że dla politycznych interesów skazano na wykrwawienie rzeszę ludności równą dwukrotności mojego, niemałego przecież, miasta. Turystycznym hitem sprzedawanym każdemu we Lwowie są obecnie rolki papieru toaletowego z wizerunkiem Putina. Oj jakie śmieszne i poprawne politycznie. Tyle tylko, że ja na takich rolkach widziałbym potrzebę zamieszczenia całkiem sporej kolekcji portretów, wśród których nie powinno zabraknąć tych, którzy zadecydowali o tym, że jadąc do Lwowa musiałem wyrabiać sobie paszport. Tak dla przypomnienia dodam tylko, że owa diaboliczna linia Curzona przyznawała Lwów Polsce. Ale co się nie zrobi dla zaspokojenia kaprysu Josefa Wissiarionowicza Dżugaszwilego, prawda panie Churchill ?, prawda panie Roosevelt ?

Dojeżdżamy do imponującego gmachu Opery Lwowskiej. Tutaj już nazwisko jej twórcy Zygmunta Gorgolewskiego uwiecznione jest czcionką miejscową. Dobrze chociaż że sceny na plafonie foyer obrazują polską literaturę (*Zemsta*, *Balladyna* etc.) nie zaś utwory Tarasa

Szewczenki, którego pomnik zastąpił położony tuż obok pomnika Jana III Sobieskiego, który w ramach repatriacji trafił do Gdańska. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie jest moją intencją nawoływanie do rozszczeń terytorialnych. Równie śmieszne jak udowadnianie ukraińskości Lwowa jest dla mnie doszukiwanie się piastowskich rodowodów Wrocławia czy Szczecina. Zależy mi tylko i wyłącznie na mądrym uszanowaniu autentycznej historii miejsc i ludzi, bez nacisków interpretacyjnych aktualnych ekip rządzących kacyków.

Wnętrze Opery imponujące, acz noszące pewne znamiona intensywnego użytkowania. Kurtyna Simiradzkiego robi wrażenie równe złoceniom łoży cesarskiej. Jest tam naprawdę na czym oko zawiesić. Mamy nareszcie chwilę spokoju, którą poświęcam na szukanie koniaku mołdawskiego. Bywał on w tych okolicach ale wtedy gdy czasy były zdecydowanie spokojniejsze. Udało nam się również zobaczyć Lwów zza perspektywy wizytówkowej ulicy czy placu. Widok jest przytłaczający i jakoś dziwnie współgrający z doznaniem sprzed cmentarza łyżczakowskiego. Wcześniej zjedliśmy wyśmienity obiad w polskiej restauracji do której wiktuały podwoziły samochody z polską rejestracją. Tak na marginesie. Niedawno rozpuściła się burza prasowa, bo z racji wakacji sejmowych i braku smaczniejszych kąsków dziennikarskich, można było dokonać szumu medialnego wokół polskich rejestracji na których poruszały się bojówki Prawego Sektora. Spokojnie panowie żurnaliści, spytajcie u źródła, w tym przypadku patrz; pan Grzegorz, a dowiecie się, że rzecz cała wiąże się z podatkami za auta sprowadzanego zza granicy. Aby obejść ten bardzo słony haracz państwowy stworzono wypróbowany mechanizm polegający na tym że Ukrainiec staje się współwłaścicielem samochodu zarejestrowanego w Polsce i jego jedynym obowiązkiem jest raz na pięć dni przekroczyć naszą granicę. Proste ? – po ukraiński oczywiście proste !

Dla nas nastąpił już czas powrotu do Ojczyzny łono. Powrót ten osłodzony został wzorcowym biznesem transgranicznym. Otóż po powrocie z cmentarza łyżczakowskiego, pewien pozytywnie obrotny biznesmen dokonał w naszym autokarze prezentacji dziesięciu najbardziej pożądanym przez naszych turystów towarów stanowiących swoisty repertuar souvenirów. Następnie rozdał karteczki z polskimi cenami tych specyfików, obok których można było dokonać zamówienia. Uprzedził po raz kolejny o drakońskich ograniczeniach granicznych, szczególnie w zakresie usankcjonowanej prawnie dintojry papierosowej. Dwie paczuski papierosów na osobę, to środek aby jak najdłużej utrzymać piętnastozłotowe ceny paczki tej używki, która w warunkach runku poza unijnego, osiąga wartość rynkową razem z marżą i akcyzą w wysokości około trzech złotych. Gdy wróciliśmy do autokaru siateczki z bezbłędnie wybranym towarem leżały już na naszych siedzeniach a w drodze powrotnej całkowicie zbędnie zabraliśmy autostopowicza, czyli pana Zbyszka, który skasował należności za dokonane zakupy. Szybko, sprawie, bezstresowo i jak widzę dziś po częściowej konsumpcji zakupów, w całkiem przyzwoitym gatunku. Przed nami pozostawał ostatni niemiły punkt naszej wyprawy czyli przejście graniczne w Medyce. Strona ukraińska bez żadnych problemów, pomimo że oni musieli coś z nami zrobić w sensie choćby stempli w paszportach, za to po stronie polskiej zobaczyliśmy dobitnie co znaczy udzielne księstwo celne. Banda nygusów ogarniętych manią wyższości i traktujący każdego z góry jako potencjalnego zbira i przemytnika. Przez kolejne półtorej godziny nie działało się absolutnie NIC, poza staniem na samym przejściu granicznym. Udzielni książęta i księżniczki doposażeni maksymalnie przez Unię Europejską poruszali się w stadach z gracją zblazowanych zółwi nie robiąc sobie absolutnie nic z oczekujących na przejściu turystów, którzy dla nich są jedynie powodem do zmartwienia i utrapieniem okrutnym. Wręcz przeszkadzamy im w wypoczynku w pracy. Aż prosi się aby pognać

to całe towarzystwo do Urzędów Pracy w roli petentów, może wówczas nabraliby szacunku do innych ludzi jak i do służby, która ponoć wykonują. Po półtorej godzinie zjawiał się w naszym autokarze celnik, który przebywał w nim całe 21 sekund i po tym czasie mogliśmy ruszać w dalszą drogę, tyle tylko, że za nami były dwie godziny bezsensownego czekania. Arogancja posunięta do granic absurdu, to możliwie najdelikatniejsze określenie cisnące mi się na usta teraz, z perspektywy tygodnia od tego pokazu chamstwa i niekompetencji. Gdyby Ci dzielni ochraniacze granic unijnych znali sens nazwy swoich formacji w których przewija się słowo „służba”, może czółka myślą nieskalane nieco by się zafrasowały, tak choćby na pokaz.

Nam pozostał bardzo nocny powrót z Ustrzyk Dolnych do naszego domku. Powrót o tyle ekstremalny, że ostatnie siedem kilometrów pokonuje się „na ślepo” bez żadnych wspomagaczy typu oznakowanie pionowe czy choćby słupki przydrożne. Jedzie się na zasadzie, że za zakrętem musi być jakaś droga, tyle tylko że nie do końca wiadomo czy pojawi się ona z prawej czy lewej strony zakrętu a wokół *ciemność, widzę ciemność !* Jestem ciekawy ile wynosi średnia wieku mieszkańca Bieszczad, no chyba że po zmroku nikt nie wychodzi z domu ☺

Dzień IV – niedziela 2 sierpnia 2015

Niedzielny poranek mobilizował nas do kolejnej pobudki, aby po sytym śniadaniu przejechać do Cisnej na miejsce zbiórki do rozpoczęcia kolejnej bieszczaderowej wycieczki, tym razem noszącej intrygujący tytuł „Traperska przygoda” Wszystko przebiegało bardzo terminowo i o 9,30 zameldowaliśmy się już na pokładzie autokaru, który tego dnia dostarczał nas w coraz bardziej czarowne miejsca. Zaczęło się jak u Hitchcocka wizytą na jednym z nielicznych już czynnych miejsc wypału węgla drzewnego. Prowadzący tę niecodzienną wyprawę Łukasz zaznaczył dość kategorycznie, że nie jesteśmy tu mile widzianymi gośćmi i obowiązują nas nieprzekraczalne nakazy dojścia tylko i wyłącznie do oznaczonego miejsca i unikania robienia zdjęć pracującym tam panom, których zapewne nie zobaczymy, bo Ci uprzedzeni o przyjeździe grupy, na czas naszej tam wizyty kryją się w swoich dziuplach. Ponieważ komunikat przekazany był w sposób zdecydowany, wszyscy karnie się do niego stosowaliśmy z jednym bardzo istotnym wyjątkiem. Otóż przekazu tego nie mógł usłyszeć jeden z wypalaczy, którego pragnienie spotęgowane wcześniejszym spożyciem lub może tylko odymieniem, spowodowało, że nagle wyszedł on do naszej grupy z zamiarami bardzo pokojowymi. Serdeczne powitanie z panem w śnieżnobiałej bluzce miało przełamać pierwsze lody. Trzeba było widzieć minę Łukasza, który zapewne nie pierwszy raz prowadzi tutaj różne grupy, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się być świadkiem takiego zachowania. Powód był dość prozaiczny, otóż szef wypału pozostawił tego nieszczęśnika samego na wypale a pić się chce więc Całkiem rozweselona postać nie tylko dała się sfotografować, ale weszła nawet do naszego autokaru, na szczęście tylko na chwilę. Tak sobie pomyślałem, że jest trochę przesady w podejściu do pracy tych ludzi. Wykonują oni bardzo ciężką i brudną pracę, ale pracują i robią to uczciwie. Może więc z racji bliskości zakwaterowania, do pracy takiej mogliby być kierowani również nasi dzielni celnicy, tak choćby na trzy miesiące w roku.

Po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę aby na kolejnym przystanku przesiąść się na czekające na nas trzy dylizanse, do których zaprzęgnięta była para dużych, silnych, choć spokojnych koni. Tragiczne wieści o traktowaniu tej siły pociągowej w Zakopanem na trasie do Marskiego Oka, powodowały, że rozpoczęcie przesiadania się na nasze pojazdy też poprzedzone było pytaniami o kondycję koni i warunki ich pracy. Wszelkie nasze obawy zostały skutecznie rozwiązane przez

rodzinę woźniców i w grupach po trzynaście osób, w tym kilkoro dzieci, zasiedliśmy do naszych powozów traperskich i ruszyliśmy w dalszą drogę. Droga niesamowicie barwna, wiodąca przeprawami przez kilka pobliskich potoków, pozbawiona była jakiś zdecydowanych podjazdów. I tutaj Łukasz wszedł już na pełne swoje obroty i częstując wszystkich w zależności od wieku albo sokiem jabłkowym albo miodem pitnym, rozpoczął swoje opowieści o ziemiach i ludziach tutaj żyjących. A są to bardzo ciekawe, choć mało pozytywne dzieje Bojków, Łemków, Rusinów, Ukraińców, Polaków. Co chwila jakiś watażka spod obojętnie jakiego sztandaru, czynił sobie z tych terenów poligon do wyładowania własnych frustracji i agresji. Tak więc zanim zapłonęły tu piece do wypału węgla drzewnego, tak potrzebnego nie tyle do grillowania co do przemysłu farmakologicznego jak i produkcji filtrów AGD, wcześniej płonęły tu kolejne wsie zakładane niemalym wysiłkiem osadników. Ludność tego terenu eksterminowano na różne sposoby, z których wywózki w głąb obcego wrogiego terytorium, było jedną z delikatniejszych form. Aby więc zachęcić kogokolwiek do skierowania się na te ziemie, uciekano się do zapisów prawa książęcego, które zezwalało na to aby sprawcy rozbojów, gwałtów i tego typu innych przyjemności, spróbowali swych sił jako mieszkańcy Bieszczad. W tej sytuacji doszczętne okradania ledwie tu zipiących cerkiewek, uznać można za rzecz prawie oczywistą czy wręcz naturalną. Łukasz opowiadał o tym wszystkim z taką swadą a jednocześnie znanstwem, że przyparty w końcu do muru naszymi pytaniami, przyznał, że już wkrótce trzeba się do niego będzie zwracać per panie doktorze, choć na chorobach żadnych się nie zna. Fajnie, niech chłopak się doktoryzuje, ale niech nie traci łączności z ludźmi, bo potrafi w sposób najzupełniej instynktowny znajdować kontakt z każdym słuchaczem i nawet ludzi z pozoru obojętnych na zagadnienia stricte historyczne, zainteresować tym o czym tak barwnie opowiada. Nie wiem jak u niego z malowaniem, ale talent gawędziarski w najlepszym tego słowa znaczeniu, był równy temu prezentowanemu przed laty przez profesora Wiktora Zinna. W efekcie Łukasz wcale nie musiał się, jako przewodnik grupy, martwić o swoje stadko, bo każdy chciał być jak najbliżej niego, aby słyszeć to wszystko o czym opowiada.

Dojechaliśmy do kolejnej kapliczki z żelaznym jeszcze krzyżem i rozpoczął się wypoczynek koni a wysiłek ich pasażerów. Nie to żebyśmy to teraz my mieli nieść nasze konie, ale przed nami był „spacer” do jeziorok duszatyńskich. Dla kogo spacer, dla tego spacer i dla kogo jeziorka dla tego jeziorka. Dla mnie okazała się to być mała prywatna Golgota z widokiem dwóch kałuż na finiszu. Łukasz uprzedzał po przejściu dość łatwego odcinka drogi, że od teraz zaczną się schody, ale ja wiedziony irracjonalną wiarą, tkwiłem w przekonaniu, że jest to kolejny żart naszego przewodnika. Wkrótce przekonałem się, że byłem w błędzie a temat poruszania się w górach nie należy do kręgu tematycznego dowcipów Łukasza. Stopniowo włączały mi się argumenty o nizinnym trybie życia, otyłości, przebytych i aktualnych chorobach, ale szlag mnie trafiał, bo małe knypki szły w górę jak przeciągi i wstyd było odstawać. Decydował w końcu czynnik psychologiczny, bo za chińskiego Boga nie wiedziałem kiedy nastąpi koniec mojej katorgi i idąc do kolejnych punktów z coraz mniejszym zapalem wyznaczałem sobie kolejne etapy. Ale w końcu nastąpił ten ostatni i mogłem zasiąść na brzegu czegoś co w ustach Łukasza było urokliwymi jeziorkami duszatyńskimi. Moja optyka tego tworu była nieco inna, nawet gdy oddech i tętno wróciły do jakiej takiej normy. Dowiedziałem się, że ich geneza łączy się z moją diagnozą kałuż, bo w obszarze prawie bezodpływowym, gdzie fermentować musi wielka ilość liści, woda w tych jeziorkach nie zachęcała do zamoczenia choćby jednej stopy. Ale ich spotkanie na tej właśnie wysokości, to naprawdę miła rzecz, tym miłsza, że nie trzeba było iść już wyżej. Zasada

przewodnicka mówiąca że przewodnik pierwszy podchodzi ale ostatni schodzi, spowodowała, że całą powrotną trasę mogłem odbyć w towarzystwie Łukasza i tu dopiero zaiskrzyły fajerwerki wiedzy naszego przewodnika. Nie mam zamiaru kwestionować komukolwiek zasobu posiadanych informacji, ale prawdziwym kunsztem niezmiernie rzadko spotykanym jest umiejętność przekazywania tej wiedzy „ludzkim głosem” w sposób zrozumiały i intrygujący dla słuchacza. Gdy w pewnej chwili przywołaliśmy świetlaną dla nas postać generała Paca, poznaną z innej strony aniżeli tylko tej Mickiewiczowskiej frazy *wart Pac pałaca* Łukasz natychmiast uzupełnił naszą wypowiedź o bunt ziemniaczane podsycane przez kościół prawosławny, przez który rosące ziemniaki kojarzone były z zarodkami ludzkimi. Takich przykładów można by mnożyć, bo droga nawet w wersji powrotnej swoją długość miała. Na nas czekało ognisko z kompletem kijków do nadziewania nadspodziewanie okazałych pęt kielbasy. Ale ja miałem okazję poznać jak mogła bogom na Olimpie smakować ambrozja. Bo jak inaczej określić smak kufla doskonale schłodzonego piwa, które wypijasz w znakomitym towarzystwie, po pokonaniu własnych słabości. Rewelacja !!!I

Jeszcze jedna dygresyjka, tym razem socjologiczna. Otóż taki wspólny wysiłek grupy ludzi, którzy dotychczas w ogóle się nie znali spowodował natychmiastową integrację społeczności traperskiej. Wypoczęte konie zdecydowały powieźć nas w drogę powrotną. Jedyna jej różnica polegała na tym, że przy kolejnej przeprawie rzecznej, konie miały wolne na popicie znakomitej źródlanej wody. Nas wysadziły w pobliżu remontowanej właśnie cerkiewki w Smolnikach. Tu od razu spieszę z uwagą. W tych stronach nazwa miejscowości Smolniki powtarza się co najmniej dwukrotnie. Pojutrze będziemy w cerkwi drewnianej w Smolnikach, ale innych Smolnikach koło Lutowisk. Tymczasem ta jest murowana, z pięknym dachem i mnóstwem innych pilnych rzeczy do wyremontowania. Ale dla nas miejsce to na zawsze kojarzyć się będzie z wyjaśnieniem symboliki krzyża prawosławnego. O taką interpretację zwracałem się w sercu polskiego prawosławia na Górze Grabarce, później w Hajnówce i wszędzie otrzymywałem odpowiedzi albo wymijające albo nie trafiające do mojego przekonania. Mówiono coś o łączeniu w tym krzyżu krzyża katolickiego, greckiego oraz tego od św. Andrzeja. Hmm – może i tak. A tymczasem tutaj, w sercu Bieszczad Łukasz przedstawił nam definicję, która trafia nie tylko do rozumu ale przede wszystkim do serca. Otóż belka pionowa, stanowiąca oś krzyża to belka Wiary, Najdłuższa belka poprzeczna, ta na której zawisły ramiona Chrystusa, to belka Miłości, belka umieszczona nad nią, na której znajdował się napis Jezus Nazareński Król Żydowski, to belka Wiedzy, natomiast belka u stóp Chrystusowych, to belka Nadziei. Piękne - prawda ? I nawet gdyby okazało się to kiedyś nieco rozjechane z właściwymi doktrynami, to we mnie ta interpretacja pozostanie już na zawsze, bo weszła we mnie całego. I niby w niedzielę nie uczestniczyłem we mszy świętej, ale chciałbym aby każdy korzystał tyle w kwestiach wiary ile przypadło tutaj w naszym udziale.

Było coś dla ducha, trzeba było zadbać i o ciało. Ostatnim punktem pieczołowicie wypełnianego programu, była wizyta w baczówce u Józinka, gdzie można się było zaopatrzyć w oscypki (nie ze mną te numery Bruner) oraz ognistą niespodziankę. A to już co innego. Legendy o miejscowej śliwowicy i gruszkówce dotarły nawet na południowy skrawek Wielkopolski. Oba smakołyki nabyliśmy drogą kupna, ale ich degustacja jest przesunięta w czasie, czekając okazałych sposobności. Wówczas dopiero uczynię dopisek, czy jakoś dorównała renomie.

Cały rozanielony że dziś już nigdzie nie będę musiał się wdrapywać, poprowadziłem nasze autko do Chmielu, po drodze mijając drogowskaz „Ostrożnie Rysie”

Dzień V – poniedziałek 3 sierpnia 2015

Dzień który mógł się zakończyć zanim się na dobre zaczął. Otóż tego dnia zaplanowaliśmy wyprawę nad Solinę. Ale ponieważ odległość z Chmiela do Soliny jest dość znaczna a moja znajomość z panienką z nawigacji przebiegała nad wyraz poprawnie, postanowiłem posłuchać się głupiej bzdziągwy i pojechać zgodnie z jej wskazówkami. Zaczęło się bardzo pięknie, bo skręciliśmy w drogę, którą nigdy dotychczas nie jechaliśmy. Tyle tylko, że za kilkaset metrów asfalt się skończył, zaczął się szuter. No cóż jesteśmy w Bieszczadach, nie ma co malkontentzić, tylko jedziemy. Panienka ochoczo zapodaje żebym za trzysta metrów skręcił w prawo. jedź to droga trzy kilometry i takie tam różne dyrdymały. Danke coraz bardziej przeraża wszystko to co widzi wokół, ja próbuję trzymać fason, ale faktycznie szuter dawno się już skończył a naszemu Peugeotowi 207 daleko do klasy samochodów terenowych. Gdy jedziemy już zupełnie leśną ścieżką a trawy sięgają naszego dachu, panienka zapodaje komunikat abym za sto metrów zawrócił. Tego było już nawet na moje optymistyczne nastawienie, zdecydowanie za dużo. W ekwilibrystyczny sposób udaje mi się zawrócić autko i nieomal z widocznym podwinięciem ogona wracam trasą którą tutaj dojechałem, modląc się aby trzymać kierunek na wschód, wszak tam musiała przetrwać jakaś cywilizacja. Gdy w końcu natrafiam na jakąś zamieszkałą chałupę, w pełni rozumiem naszego Papieża, który całował ziemię po wyjściu z samolotu. Wracamy na główną drogą, nieomal w punkcie który opuściliśmy przed godziną i jedziemy jak Bóg przykazał obwodnica bieszczadzka przez Ustrzyki Dolne do Polańczyka. Wcześniejsza rozmowa telefoniczna z szefem Bieszczadera panem Mariuszem, jasno wskazała, że jeśli chcemy popłynąć po zalewie, najlepiej będzie wybrać się w rejs stateczkiem o nazwie Tramp. Udaje nam się dotrzeć do jego przystani i po prawie pięćdziesięciominutowym oczekiwaniu zasiąść dumnie na jego pokładzie. Do dziś nie wiem, jakim cudem Danusi udaje się załapać na zupełnie vipowskie miejsca na dziobie stateczku. Widok, podmuchy wiatru i luksus tego miejsca są naprawdę wielkie. Jedno tylko tu nie dociera a mianowicie komentarz kapitana statku, ale jedno woleć albo wizję albo fonię. Ale kapitan jest na tyle wspaniałomyślny, że po odczytaniu tekstu dla podróżnych wychyla się ze swojej kajuty, aby również i nam podać co najistotniejsze punkty swego expose. Jego otwartość na zadowolenie z tego co robi za chwilę osiągnęły jeszcze bardziej szczytowy dla mnie moment, gdy chętnie zgodził się abym wszedł do jego kabiny i przejął stery statku. Biedni pasażerowie, w większości nie byli nawet świadomi na jak cienkim włosku zawisło ich życie doczesne. Pogadaliśmy sobie jako te dwa wilki żeglugi śródlądowej a sesja zdjęciowa mojej żony z panem kapitanem nadaje się do wszczęcia procesu rozwodowego. Ponieważ zaporę w trakcie rejsu obserwowaliśmy tylko przy pomocy zoomu naszego aparatu fotograficznego, trzeba było teraz udać się w tamtą stronę, aby o jej technicznej niezwykłości przekonać się naocznie. I niestety pojechaliśmy tam, jakby nie dopuszczając do swojej świadomości obrazków z Polańczyka, które już nakazywały ostrożność, bo tak oto wjeżdżając w te okolice, wkroczyliśmy w zupełnie inny świat. Świat nadmorskich uzdrowisk połączonych z Krupówkami, gdzie króluje chałtura, kicz i dyskoteki. Faktycznie dojście na zaporę to slalom wśród turystycznej tandety najgorszego sortu. Rozglądałem się już nieomal za misiem zachęcającym do wspólnego zdjęcia za dychę. Niesieni falą nieprzebranego tłumu weszliśmy na zaporę i po pstryknięciu kilku fotek szybko stamtąd uciekliśmy, czując się zupełnie nieswojo w tym anturażu. Autko i ucieczka do naszej krainy łagodności, do Bieszczad które poznaliśmy i pokochaliśmy.

Dojechaliśmy do Lutowisk, siedziby naszej gminy. Miejsca bardzo ciekawego z tragiczną historią, ale po kolei. Zatrzymaliśmy autko obok galerii rękodzieła, do której wpadłem z aparatem i chęcią zakupu czegoś dla wnucząt. Ale prawdziwą bombę odkryła Danusia vis a vis owej galerii. Zaczepiła ona pewną panią i spytała o odnawiany w tym miejscu obiekt. Dowiedziała się, że kiedyś była tu szkoła żydowska albo ichnia siedziba sądu a obecnie od kilku lat ruiny te zakupił pewien nasz rodak mieszkający na stałe w Montrealu, który własnym sumptem przywraca ten obiekt do życia. Obiekt jest na tyle ciekawy, że nie odmówiliśmy sobie przyjemności przyjrzenia mu się z bliska. Natknęliśmy się na jedyne jak się okazało pomocnika pana Kazimierza, który ochoczo zawołał szefa i tak oto mieliśmy okazję poznać fascynata najszlachetniejszej próby. Oczywiście oprowadził nas po całym obiekcie, który na dzień dzisiejszy składa się głównie z odkopywanych piwnic. Przy okazji wysłuchaliśmy relacji o potyczkach toczonych z panią konserwator, Coś wiem na ten temat, bo faktycznie jeśli jakiś zabytek rozsypuje się sam z siebie, to jest to zgodne z prawem, ale jeśli spróbujesz podjąć próby jego ratowania, to praktycznie jesteś już kimś w rodzaju owego turysty na przejściu w Medyce. Ale wracam do nietuzinkowej postaci pana Kazimierza. Nie dopytywałem dlaczego te wszystkie prace wykonuje sam, możliwe że stać go było na wykupienie obiektu, ale teraz środki mogły już się wyczerpać. Ale w trakcie rozmowy dowiadujemy się o sobie kilku rzeczy, między innymi o łączącej nas pasji numizmatycznej, którą pan Kazimierz okrasza zbiorem około dwustu prac malarskich. Nieważne, każdy sam sobie wybiera drogę a ten obiekt nadaje się zawołania Horacego Exegi monumentum. Wiele rzeczy chciałbym aby stały się jeszcze za mojego żywota, jedną z nich dopisałem teraz na tę listę. Jest nią nieodparta chęć aby panu Kazimierzowi udało się odbudować ten budynek. Ale spotkać na swojej drodze tak niezwykłą postać jaką bez wątplenia jest pan Kazimierz, to zaszczyt i nadzieja, że nie wszystko zdołała na dzień dzisiejszy zeżreć komercja i trwający nieustannie wyścig szczurów.

Wracając do domku zatrzymaliśmy się raz jeszcze przy kaskadach i korzystając z gościnności właściciela działki usytuowanej w miejscu dającym dostęp do samej rzeki, zanurzyłem się w jej ciepłych wodach. Stan rzeki jest tak niski, że dokonanie takiego zanurzenia wymagało nie lada ekwilibrystyki, ale mnie się to akurat udało i z wielkim ociąganiem wylazłem z tej kąpieli, chcąc dziś jeszcze dotrzeć w jedno miejsce. Otóż mieszkając na samym końcu Chmiela, widzieliśmy codziennie drogowskaz do miejscowości Zatwarnica, po dotarciu do której droga się kończy. Nie wiem czy świat cały też się tam kończy, bo zawracających nagle ptaków nie widziałem, ale coś w tym być musi, bo przejazd po takim moście jak ten z Zatwarnicy stanowi o dotarciu do jakiegoś punktu zwrotnego. Nośność mostu określa się już na sześć ton, ale stojące na jego krańcach tablice z tekstem : „opieranie o poręcz grozi upadkiem z wysokości” – to już nie mój dowcip.

Dzień VI, wtorek 4 sierpnia 2015

Od rana nie czułem się najlepiej stąd z dużą ulgą przyjąłem sugestię Danusi, abyśmy zrezygnowali z planowanej na dziś wyprawy pod nazwą „Drezynami po Bieszczadach”. Moje nogi pamiętały jeszcze kałuże duszatyńskie i choć organizatorzy zapewniali, że wysiłek w przypadku owych drezyn rowerowych nie będzie wielki, to jednak wołałem ująć z życiem z kolejnej próby wytrzymałościowej. Dochodził jeszcze argument dla nas dość zasadniczy, gdyż wyprawa tym razem zaczynała się i kończyła w Uhercach Mineralnych a to oznaczało dla nas konieczność dwukrotnego pokonania po raz kolejny czterdziestokilometrowego odcinka serpentynek

bieszczadzkich. Dlatego postanowiliśmy oprzeć się na własnym rozeznanium i dotrzeć do miejsc, które do tej chwili mijaliśmy pędząc w kierunku kolejnych atrakcji. Zadzwoniliśmy więc grzecznie do Łukasza umawiając się na spotkanie z nimi w Lutowiskach, natomiast sami ruszyliśmy bez większego składu i ładu w swoje własne włóczenie się po Bieszczadach. Zaczęliśmy od drewnianej cerkiewki w Smolnikach, którą zastaliśmy od rana przykładowo zamkniętą i zabezpieczoną drewnianymi drzwiami, ale atrakcją zastępczą okazało się spore stado pasących się nieopodal kóz. Zjechaliśmy do Lutowisk aby poszukać miejsca po dawnej cerkwi ale przy okazji odkryliśmy nieopodal neogotyckiego kościoła pewną niezbyt nagłośnioną turystycznie atrakcję, jaką jest Horoskop Celtycki. Cóż to takiego ? – otóż jest to ciąg 18 znaków w których znany nam układ gwiazdzbiorowy zastąpiony został drzewami. Każde drzewo wyznacza pewien okres kalendarzowy, przy czym ich większa liczba od współczesnego podziału na dwanaście miesięcy związana jest ze szczególnym podkreśleniem przesilen letniego i zimowego. Po lekturze tego horoskopu wiemy już, że za cechy Danusi odpowiada jałowiec zaś za moje jarzębina. Przy każdej tej tablicy zasadzone jest oczywiście drzewo tego właśnie gatunku. Dwa chyba się nie przyjęły, ale mamy nadzieję na ich szybkie uzupełnienie, bo całość tego horoskopu wygląda naprawdę bardzo interesująco. Mając dość duży zapas czasu pojechaliśmy do Ustrzyk Górnych.

Tutaj muszę znowu powrócić do moich lat dziecięcych. Otóż ulubioną zabawą domową było zadawanie mi przez dwóch moich starszych braci, zagadek odnajdywania miejscowości na mapie Polski. Mieliśmy taki mały atlas świata, który służył nam wszystkim przez długie lata. Zadaniem które kompletnie mnie załamało, było właśnie odnalezienie Ustrzyk Dolnych a gdy byłem już bliski ich umiejscowienia, bracia zmienili zadanie na odszukanie Ustrzyk Górnych i te poszukiwałem już w rejonie Mazur wzbudzając niemalą wesołość moich oprawców intelektualnych. Dlatego teraz po bardzo wielu latach bardzo cennym dla mnie było znalezienie się w obu tych miejscach a pewną perełką w tym zakresie jest zdjęcie drogowskazu wskazującego odległość do Ustrzyk Górnych i Ustrzyk Dolnych.

Dotarliśmy do Ustrzyk Górnych i dobrze że z reguły nie prowadzę samochodu zbyt szybko, bo można by nie zauważyć, że już się jest w Ustrzykach Górnych. Zatrzymaliśmy się na parkingu przy którym nad wypalaniem rzeźby niedźwiedzia pracował jeden z miejscowych artystów. Też od czasu do czasu wypalam drewno, ale nigdy nie wiedziałem że w jego środku mogą kryć się tak znakomite kształty. Zgodnie z tradycją tego regionu, znowu wciągnęliśmy się w zajmującą rozmowę, podczas której Danusia obfotografowała całą kolekcję prac a ja przekonywany byłem, że cały artyzm potrzebny do ich stworzenia kryje się w każdym z nas i trzeba tylko przełamać swoje wewnętrzne zahamowania, aby nagle spod dłuta zaczęły powstawać kształty cieszące później nie jedno oko. Atmosfera tej rozmowy znowu miała coś z piękną wcześniej spotykanych przez nas tu ludzi i powodowała, że naprawdę można było poczuć się lepszym. Parking mieścił się naprzeciwko strażnicy Straży Granicznej, która grała w oglądanym przeze mnie serialu Wataha, dlatego nie odmówiłem sobie dość obszernej sesji zdjęciowej, choć przez moment byłem zaniepokojony gdy w naszą stronę szedł żołnierz z tego posterunku. Na całe szczęście jego wyjście związane było z przejeżdżającym przed momentem na sygnale radiowozem policyjnym a zdjęcia mogłem sobie robić do woli, nawet zaprosił nas trochę bliżej i wyżej. Pogaduchy z napotykanymi ludźmi, a trzeba wiedzieć że tutaj każdy z każdym grzecznie się wita i odpowiada na takie powitania, spowodowały, że czas najwyższy był aby ponownie udać się w stronę Lutowisk, gdzie powinna za godzinę dotrzeć grupa realizująca program Drezynami przez Bieszczady. My natomiast w swoim własnym

rozkładzie jazdy mamy dostanie się do pokazowej zagrody żubrów w Muczonym. Trafienie tam nie jest specjalnie trudne, ale uprzedzenie o fatalnym stanie drogi prowadzącej do tej niewątpliwej atrakcji ma wydźwięk nieomal taki jak te napisy o krętej drodze. W tym przypadku o stanie drogi można powiedzieć tyle tylko, że ona jest. Natomiast określanie stanu technicznego a tym samym warunków niezbędnych do jej pokonania wymagałoby użycia słów niecenzuralnych, dlatego spuszczę na nie zasłonę milczenia. Natomiast sama zagroda to jest właśnie to co powinno być zagwarantowane dzikim zwierzętom. Olbrzymi obszar ogrodzony masywnym a przy tym ażurowym ogrodzeniem zawierający w swym obrębie górki, doliny i płynąc po środku strumień. Zwierzęta są tam trzymane w warunkach tak komfortowych, że chciałbym aby wszelcy głosiciele idei tworzenia mini ogrodów zoologicznych, czy też fascynaci zwierzęcych popisów cyrkowych, mogli zobaczyć co znaczy szacunek dla naszych braci mniejszych. Z tymi mniejszymi w przypadku żubrów to może trochę przesadziłem, ale możliwość podziwiania tych stworzeń z dwóch doskonale usytuowanych platform widokowych zapewnia komfort zarówno obserwowanym jak i obserwującym. Miejsce to polecam uwadze obrońcom przyrody, bo tutaj zrealizowane są chyba wszystkie ich postulaty. Ale my wyruszamy dalej na spotkanie z panem Łukaszem i jego grupą. I rzeczywiście zastajemy ich będąc samymi nieco spóźnionymi, gdy schodzili z kirkutu a w planie mieli odwiedzenie trój kopulastej cerkiewki w Smolnikach. Udaliśmy się ich śladami i dzięki temu mogliśmy podziwiać wewnątrz cerkwi wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Wymogi tego wpisu są jednak na tyle rygorystyczne, że nie jest możliwe dostawienie na zewnątrz oddzielnej dzwonnicy. Powoduje to kuriozalną sytuację w której dzwon kościelny znajduje się w jego wnętrzu, tuż obok ołtarza a wcześniej ikonostasu. Po chwili grupa udaje się na obiad w Wilczej Jamie. Towarzyszymy im ale bez konsumpcji, bo wiemy, że wieczorkiem na pewno czekać na nas będzie solidna porcja irenkowych wspaniałości. Żegnamy już na ten rok Łukasza i jego barwne opowieści a gdy grupa udaje się do żubrów, my jedziemy po raz kolejny do Lutowisk aby odwiedzić Kirkut. Nauczani wcześniej przez Halinę Marcinkowską zabieramy z sobą dwa kamienie, które złożymy na macewach. Jest ich tam naprawdę mnóstwo a stan zachowania oraz ich ornamentyka, budzą prawdziwy zachwyt. Żydzi to kolejna nacja która tworzyła dorobek tych ziem i po której pozostały tylko cmentarze. Wcześniej Łukasz wskazywał nam wsie, których już nie ma a o ich wcześniejszym istnieniu świadczą tylko zarastające bujna roślinnością cmentarze. Szkoda, czasu się nie cofnie, ale niech choć straci sens maksyma, że historia uczy, że nigdy nikogo niczego nie nauczyła. Schodząc zatrzymujemy się obok szkoły, gdzie stoi tablica upamiętniająca Przesiedlenie ludności Sokalszczyzny do Lutowisk. Nieskromnie zaznaczę, że prawidłowe brzmienie mojego nazwiska to właśnie Szokalski, ale w tym przypadku jest to z całą pewnością tylko zbieg okoliczności. Różnych tablic informacyjnych spotykamy tutaj całe mnóstwo, ale ta w Lutowiskach jest jedyna w swoim rodzaju, tak rozbudowana, tak dopracowana, tak wielowątkowa – naprawdę coś godnego do dłuższej lektury i podziwiania pracy w nią włożonej.

Na naszym szlaku pojawia się kolejna drewniana cerkiew, tym razem w Dwerniku. Wchodzę do jej ciemnego wnętrza i dostrzegamy się wspólnie z księdzem proboszczem, który natychmiast udaje się do zakrystii i po chwili cały kościół rozbłyska pięknym światłem, a my obaj rozpoczynamy przyjacielską pogawędkę, prowadzona przez dwóch starych kumpli, którzy co prawda dawno się nie widzieli, ale przecież znają się od zawsze. Te rozmowy, ta życzliwość, to wyciszenie i dobroć spotykanych przeze nas tu ludzi, nigdy nie przestanie nas zadziwiać. Kościół

jest skromny, ale przez to jakże piękny i dostojny. Tak bardzo pasuje do tej przyrody i do tych ludzi. Musimy jeszcze kiedyś tu wrócić.

Czas popędza nas do kolejnych miejsc. Ponieważ przed nami zielona noc w Chmielu, więc pora odebrać z bacówki zamówione wcześniej pyszności. Zjawiamy się tam i jesteśmy w domu !!! Nie będę wnikał jak przyjmowani tam są wszyscy inni klienci lub goście gospodarstwa agroturystycznego Magiczny Zakątek. Wiemy i czujemy jedno – my jesteśmy wśród nich po prostu w domu. Z Panem Andrzejem umawiamy się na wieczorną herbatkę z prądem, która nie dojdzie jednak do skutku z racji nagłych obowiązków, które spoczęły na Bacy Jędrku. Nieistotne – co się odwlecze, to nie uciecze. Może nawet dobrze, bo będziemy mieć pretekst do kolejnego pojawienia się w Chmielu.

Nadkładamy trochę drogi powrotnej, aby raz jeszcze dotrzeć w okolice legendarnego dla nas mostu w Zatwarnicy. Tym razem już na niego nie wjeżdżam, bo ekstremalnych doznań mam już zdecydowanie dosyć, ale z aparatem w ręku fotografujemy przepływający poniżej San, korzystając o otworów w jego nawierzchni. Jesteśmy przed obiadową wiec spokojnie docieramy na jego drugi brzeg i odkrywamy schody prowadzące do lustra rzeki. Przeprawa na drugą stronę właśnie po tych kamieniach wydaje się być o wiele bardziej bezpieczna aniżeli ta wiodąca dziesięć metrów nad naszymi głowami.

Wracamy na posiłek i choć starałem się nie wymieniać już całego jadłospisu, który pałaszowaliśmy tutaj z wielkim apetytem, to jednak drugie danie dzisiejszego obiadu postanowiłem nawet sfotografować, bo poza walorami smakowymi uznałem je za dzieło sztuki. O tym, że do mnie trafiło w podwójnym rozmiarze, nie będę wspominał ☺

Dzień VII – środa 5 sierpnia 2015

Dzień zły. Wszystko było w nim nie takie jakie być powinno. Może podświadomie konieczność rozstania z miejscem gdzie było nam tak dobrze spowodowała pewne rozdrażnienie. Może niezbyt precyzyjne ustalenia gdzie dziś dotrzemy a może pogoda, która zaskoczy nas burzą i deszczem wlokącym się z nami przez wiele kilometrów. Nie wiem dokładnie, ale to był zły dzień.

Pożegnanie z magicznym Zakątkiem i panią Irenką. Nie lubię pożegnań. W każdym z nich jest coś z umierania a przecież my tu jeszcze wrócimy. Na drogę jesteśmy sowicie zaopatrzeni i obdarowani taką ilością przepysznych rydzy, że jeżeli dobrze się będziemy nimi gospodarowali, to może starczy jeszcze coś na wigilijny stół. Zostawiamy nasz pokój nr 17, żegnamy się z Eli i ogrodem pełnym precudnych kwiatów i pakujemy się do autka. Wiemy że jedziemy do Łańcuta, ale czy i kiedy tam dotrzemy, to już wcale nie jest takie pewne. Po drodze zatrzymujemy się przy porzuconej budowie domku z bali. Mijaliśmy ją dotychczas z dziesięć razy, ale zawsze gdzieś nam było śpieszno. Teraz jest ostatnia okazja. Bzdura, ostatnia tylko w tym roku.

Następnie odwiedzamy kolejne punkty na szlaku drewnianych cerkiewek. Zatrzymujemy się kolejno w Żłobku, Rabem, Hoszowie, aby po kilkunastu następnych kilometrach dotrzeć do Sanoka. Wszyscy w Sanoku zwiedzają skansen, dlatego my wybraliśmy muzeum w Zamku. Przywiodła nas tutaj głównie ekspozycja prac Zdzisława Beksińskiego, do których nasza przyjaciółka, Iza Fietkiewicz-Paszek napisała kilka wspaniałych sonetów, stwarzając mi okazję i przyjemność ich wykonania. Okazuje się, że całe muzeum godne jest większej uwagi. Przechodzimy majestatycznie wszystkie jego sale i wiemy, że aby dogłębniej przeżyć eksponowane tu dzieła, trzeba by dysponować co najmniej dwoma dniami. Bardzo bogaty zbiór ikon,

zabezpieczony tutaj z nie do końca okradzionych cerkiewek, sąsiaduje z działami malarstwa współczesnego. Natomiast całe skrzydło poświęcone Zdzisławowi Beksińskiemu, jest już ekspozycją usytuowana w wieku XXI. Gdybym miał być tylko trochę upierdliwy, to doczepiłbym się do oświetlenia obrazów, które choć można je fotografować bez fleszu, to jednak przy takim a nie innym oświetleniu punktowym, nie pozwalają na wywiezienie stąd w pełni doskonałych zdjęć. A może taki cel nomen omen przyświecał twórcy tego oświetlenia. Jeszcze tylko krótka sesja fotograficzna na wałach z których rozpościera się bardzo piękny pejzaż doliny Sanu. Trzeba tylko umiejętnie kadrować ujęcia, by nie znalazła się w nich wielka reklama Kauflandu. No ale cóż – signum temporis – czy jakoś tak.

Jedziemy w stronę Łańcuta, ale po drodze napotykamy dość intensywne prace drogowe. Konieczne są objazdy a panience w nawigacji też chyba doskwiera upał, który utrwalony mamy o godzinie 12.45 na poziomie 42 stopni Celsjusza. Kluczemy więc, ale niczego nie żałuję, bo widoki za oknem autka, zapierają dech w piersiach. W końcu docieramy do Łańcuta. Najpierw kłopot z zaparkowaniem a gdy ono już jakimś cudem się udaje, to nim wyjąłem kluczyk ze stacyjki już za szyba pojawił się cerber żądając ode mnie pięciu złotych polskich. Idziemy zachłysnąć się widokiem zamku, ale tablice informują o konieczności odwiedzenia kasy. Okazuje się, że dotychczasowa nasza gotówka zmieniła już właścicieli, na co byliśmy przygotowani, gdyż zapas ukryty był na kawałku plastiku. Wszystko dobrze, tyle tylko, że w tych stronach bank BZ WBK nie należy do najpopularniejszych i trzeba było skorzystać z bankomatu innego banku, który w swych kartach zaszył sześciocyfrowy pin nie zaś nasz czterocyfrowy. Chwila zamieszania, ale udaje się z paszczy umieszczonej w ścianie wyciągnąć znajome dziesięć podobizn Kazimierza Wielkiego i tak wyposażeni możemy już kierować się w stronę kas. Po drodze jeszcze tylko slalom bo pani opiekunka jakiegoś niepełnosprawnego dziecka, postanowiła zademonstrować światu swoje cierpienie, ustawiając wehikuł po środku wąskiego chodnika i tam spokojnie delektować dziecko lodem. Docieramy do dumnie wyremontowanych kas. Wokół tablice sponsorskie informujące, że tak oto jesteśmy beneficjentami szczodrości Luksemburczyków, Islandczyków i chyba Szwajcarów albo innych Szwedów. Tafle matowego szkła, air condition, Europa całą gębą i oto Polska właśnie !!! Jest pełnia sezonu turystycznego, jesteśmy przy jednym z najatrakcyjniejszych miejsc tego regionu, żeby nie powiedzieć kraju, boć przecież w całym kraju jest ono doskonale rozpoznawalne. Tymczasem zegar wskazuje 15.05 i te nieszczęsne pięć minut stanowi o tym, że kasy są już zamknięte na pietruchę, urzędasz poszły do domów na obiady a ty turysto, przestań się pałętać, bo Cię straż zamkowa jeżdżąca samochodami po alejkach parkowych przepędzi stąd na siedem wiatrów. Żeby było śmieszniej, na zamkniętych szybach kas widnieje napis zabraniający pod karą administracyjną, wykonywania jakichkolwiek zdjęć w Pałacu. Autorom takich rozporządzeń kazałbym na własny koszt pojechać do Luwru (to jest takie muzeum w Paryżu) i zobaczyć jakie tam prezentowane są zbiory i czy komukolwiek przeszkadza aparat fotograficzny z fleszem w ręce turysty. Próbując jakoś ratować ten zły dzień, idziemy naprawdę pięknym parkiem w stronę storczykarni. Docieramy tam witani salwą piorunu, który trzasnąć musiał gdzieś bardzo blisko. Pani opiekująca się tym przybytkiem jest jedyną jasną stroną łańcuckiego epizodu. Nie pyta nas o bilety, tylko zaprasza abyśmy schronili się wewnątrz i korzystając z okazji przyjrzeliby się zbiorom storczykarni. O storczykarni słyszeliśmy i czytaliśmy w przewodnikach, prowadzą do niej drogowskazy równie wielkie jak do Kasy, Pałacu czy Powozowni, ale gdy obejrzałem jej zbiory, to wyszło mi że na pewno znam ze dwie kwaciarnie w Kaliszu, które mogłoby z powodzeniem

konkurować z ilością zgromadzonego tu kwiecica. Może tylko nie był to czas dobry na storczyki, a może ja miałem już zupełnie podły nastrój. Wewnątrz storczykarni usytuowane jest patio pełniące funkcje gastronomiczne, a wokół niego, pełniąc nieomalże funkcję fosy, pływają w szklanym korycie kolorowe rybki. Wszystko fajnie, ale panowie zajmujący się pielęgnacją tego rozbudowanego akwarium zapewne nigdy nie widzieli czystego zbiornika wodnego. To w czym pływają te najbardziej odporne z ryb, nazwać można zupą szczawiową, ale nigdy nie otwartym akwarium. Gdyby więc nie gospodyni tego obiektu, która naprawdę stara się otoczyć nas opieką i przy okazji opowiada dużo i ciekawie o eksponowanych tu roślinach, to chyba sam też bym miał pioruny.

Deszcz leje rześście, Aniołki grają namiętnie w kręgle i przez kolejne dwie godziny poznaliśmy dogłębnie każdy płatek prezentowanych tu storczyków. Gdy około siedemnastej desperacko ruszyliśmy w stronę autka, jasnym stała się konieczność znalezienia noclegu. No cóż, może ja wyglądam na niezbyt rozbudowanego, ale proponowanie mi noclegu za jedyne 240 zł to już drobna przesada nawet jak na moje IQ. Deszcz padał w dalszym ciągu, zrobiło się ciemno, mokro, smutnie i wówczas podjąłem jedyną słuszną w tych warunkach decyzję – Jedziemy do Kalisza!!! I tym sposobem o pierwszej w nocy dnia następnego zlegliśmy darmowo we własnych posłaniach a mnie naszła ochota, teraz po tygodniu od tych wydarzeń, aby wszystko to opowiedzieć, tym którzy będą mieli cierpliwość wysłuchać naszych bieszczadzkich wspomnień.

Jerzy Szukalski, Kalisz 11 sierpień 2015r.

Drodzy Państwo,

W załączeniu przesyłam Wam moje własne autorskie wspomnienia z naszego tygodniowego pobytu w Bieszczadach. Ponieważ korzystaliśmy z Państwa usług, uznałem za stosowne, abyście zobaczyli jakie wrażenie robią Wasze imprezy. Przepraszam, że lektura jest dość obszerna, a tutaj przecież pełnia sezonu, ale kiedykolwiek, ktokolwiek z Was będzie chciał zaryzykować przeczytanie tego tekstu, to zapraszam i raz jeszcze dziękuję za wszystko dobre co nas z żoną dzięki Wam spotkało.

*Pozdrawiamy Serdecznie
Danusia i Jurek Szukalscy z Kalisza, 11 sierpień 2015*